

Jean GUITTON

„NIEDOKOŃCZONA SYMFONIA”*

8 września 1950 roku, około trzeciej po południu, monsinior Montini przyjął mnie w opustoszałym Watykanie. On patrzył na mnie, ja patrzyłem na niego. I uzyskał ode mnie dwie obietnice: Po pierwsze, że będę go przez całe życie odwiedzał 8 września, czyli w święto Narodzenia Maryi. Po drugie, że będę pisał swobodnie, szczerze, nigdy nie kryjąc przed nim swoich poglądów, nawet gdyby mogły mu się nie spodobać. Przychodziłem do niego w dniu 8 września dwadzieścia siedem razy.

Wejście do Akademii miało zmienić moje życie.

André François-Poncet, kiedy wyrażałem skruchy, że zostałem wybrany po znajomości i przypadkiem, uspokoił mnie: „Niektórzy z nas – powiedział – są wybierani, ponieważ są bardzo zasłużeni, inni – aby mogli stać się zasłużeni”.

Im dalej od Sorbony, Dzielnicy Łacińskiej czy Quai, tym większego blasku nabiera ów byt zwany Akademią. Zauważyłem w Japonii, że mit akademicki osiągnął apogeum. W Watykanie Akademia uchodzi za ważną; gdybym nie był jej członkiem, Jan XXIII nigdy nie wezwałby mnie na swój Sobór.

Wiodłem dotąd życie profesora, który historię opowiada, który w niej nie uczestniczy. Z brzegów Sekwany, wcale tego nie chcąc, zostałem rzucony nad Tyber. Miałem sposobność uczestniczenia we wszystkich sesjach Soboru; początkowo byłem nawet jedynym świeckim.

Opowiadano mi, że generał de Gaulle, zapytany o najbardziej godne uwagi wydarzenie stulecia, nie wymienił dnia 18 czerwca¹. Odpowiedział skromnie: „Nie, jest nim Sobór”. Nie ulega wątpliwości, że Sobór – taki, jaki został zwołany, jaki jawił się, gdy trwał, i jaki wydaje się do dzisiaj – nazaczył na zawsze historię naszej planety.

*Tekst obejmuje wybór fragmentów „Le Concile dans ma vie” [„Sobór w moim życiu”], części ósmej wspomnień Jeana Guittona (*Une siècle, une vie*, Robert Laffont, Paris 1988, s. 353-357, 361-373, 375-384, 386-392), a jego tytuł jest tytułem pierwszego rozdziału tej części. Tekstowi towarzyszą reprodukcje autoportretu Jeana Guittona oraz siedmiu obrazów zainspirowanych jego udziałem w Soborze Watykańskim II. Redakcja dziękuje fundacji Opera per l’Educazione Cristiana za udostępnienie reprodukcji oraz zgodę na ich bezpłatną publikację.

¹ 18 czerwca 1940 roku gen. Charles de Gaulle wygłosił na falach BBC swoje pierwsze przemówienie, wzywające do oporu wobec nazistowskich Niemiec. Przypisy pochodzą od tłumaczki.

Odtąd dystans między faktem a opowieścią o nim niemal zanika. Można pisać historię chwili. Czasami wydaje się, że przywołuje się reporterów właśnie po to, by uchwycili wydarzenie i poinformowali o nim w tej samej chwili, w której ono zachodzi. Nieszczęście w tym, że migawki takie nie mówią prawdy, bo chwila istnieje tylko pomiędzy czasem, który ją poprzedza, a czasem, który po niej następuje. Nie można badać historii Rewolucji ani wojny 1914 roku, nie biorąc pod uwagę ich konsekwencji.

[...]

Kiedy Jan XXII wezwał mnie, wbrew wszelkiej roztropności, na pierwszą sesję Soboru, kiedy Paweł VI polecił mi, bezprecedensowo, „zabrać głos na Soborze”, moje wcześniejsze życie zdało się zyskiwać w moich oczach usprawiedliwienie; całe życie uzyskało wyjaśnienie w świetle swoich ostatnich etapów.

Wpisałem do „liliowego zeszytu” mojej matki słowa ojca Didon, awangardowego dominikanina: „Trzeba przywrócić równowagę między nowoczesnymi ludźmi, którzy dzisiaj nie wierzą, a niedzisiejszymi wierzącymi; trzeba, by ci pierwsi znaleźli Boga, i trzeba, by drudzy szli naprzód, stąpając po ziemi”. A także myśl pani Swetchine: „Kościół niewątpliwie jest niezmienny, jak wszystko, co pochodzi z nieba. Niewątpliwie podlega on też zmianom, jakich wymaga czas, ten wielki nowator. Tylko że to, co się zmienia w Kościele, ma inną naturę niż to, co się w nim nie zmienia. Jego kościec pozostaje nienaruszony, zmiany pozostają na powierzchni: zmiany dokonują się tuż nad samą powierzchnią prawdy”.

Przygotowałem przed Soborem dzieło – w sześciu niewielkich tomach – które zatytułowałem *La Pensée moderne et le catholicisme* [„Myśl nowoczesna a katolicyzm”]. Jak uczył mnie mój niewidomy mistrz ksiądz Pouget, dążyłem w nim do przedstawienia wiary w sposób możliwy do przyjęcia z punktu widzenia tego, co najnowocześniejsze w dziedzinie myśli.

Wróciłem do projektu Newmana, który w 1836 napisał: „Żąda się ode mnie nowej filozofii: chrześcijaństwa rozwiniętego, gotowego wyjść naprzeciw naszym czasom”. Przyszło mi kiedyś na myśl, że wielkie sobory zostały zainspirowane przez teologię. Kiedy zobaczyłem zapowiedź Soboru, odniosłem wrażenie, że jego inspiratorem był Newman. Pamiętam, że według Newmana Kościół zmienia się tylko na powierzchni, a nie w swojej strukturze; a nawet, że zmienia się tylko po to, by pozostawać taki sam.

Sobór był w moich oczach spektakularną demonstracją r o z o j u w takim sensie, w jakim rozumiał go Newman. Zrozumiałe, że mojemu uczestnictwu w Soborze towarzyszyło nieznanne uczucie, jakie rzadko budzi się w sercu: uczucie, które pojawia się, gdy pod koniec życia odślania się przed nami jego pierwotny zamysł; dzieje się to falami, w łagodnym świetle, po wielu wahaniach.

Podczas Soboru przypominało mi się życzenie, które usłyszałem od starego lorda Halifaxa: „Gdybyż pojawił się wielki papież, który zarzuci sieć na pełnym morzu!”. Papieża tego widziałem na własne oczy, słyszałem na własne uszy.

Wraz z Soborem papieństwo zdawało się wkraczać w fazę nieznaną w jego tysiącletnich dziejach. Wydawało się, jakby nowi papieże ustanowili nową dynastię, której znakiem jest imię u m i ł o w a n e g o u c z n i a, autora Ewangelii i Apokalipsy, imię Jan.

Pojawiło się kolejno czterech papieży: Jan XXIII, Paweł VI, Jan Paweł I, Jan Paweł II. Ci, którzy wierzą w przypadek, powiedzą, że ta sukcesja to szereg zbiegów okoliczności. Nie należy się jednak dziwić, że ja widzę ją jako łańcuch ze złotych ogniw. Odtąd łączę tych czterech papieży – tak podobnych i tak różnych – w jedność. M y ś l ę o nich, sprowadzając każdego do tego, co w nim istotne.

Wydaje mi się, że przyszły historyk zachowa w pamięci trzy najważniejsze sobory: Sobór Nicejski, który zdefiniował boskość Chrystusa w sporze z arianami, Sobór Trydencki, który zdefiniował wiarę katolicką w sporze z protestantami. Ja uczestniczyłem w trzecim Soborze, który zdefiniował stosunek Kościoła do świata: świata nowego, świata „współczesnego”.

W młodości słyszałem, że Sobór Watykański I został p r z e r w a n y wojną w 1870 roku. Sobór ten był „niedokończoną symfonią” – jak tyle innych rzeczywistości tego świata, jak nasza egzystencja.

Mówiono, że struktura Kościoła zasada się na relacji między władzą przywódcy apostołów zwanego Piotrem (którego następcami są papieże) a władzą „kolegium dwunastu” (której spadkobiercami są biskupi). Sobór z roku 1870 określił władzę papieską, nie potrafił jednak wskazać dla niej przeciwwagi przez określenie roli episkopatu. Równowaga najwyższej władzy zdawała się naruszona na korzyść wyłącznie papieża. Oczekiwano dopełniającej definicji – definicji episkopatu.

Czy jednak można było ponownie zwołać Sobór?

Trudności były znaczne. Najpierw liczba biskupów. Po Nicei sobory gromadziły niewielu biskupów. W 1870 było ich pięciuset. Jak doprowadzić do autentycznej rozmowy dwóch tysięcy biskupów? Żaden parlament czegoś takiego nie dokonał. Jaki papież mógłby prowadzić taką łódź, czy to w czasie spokoju, czy burzy? Z drugiej strony kurczenie się świata, łatwość podróżowania, postęp telekomunikacji, wszystko to sprzysięga się, by Kościół nieustannie spotykał się na wirtualnym Soborze.

Projekt nowego „Soboru Watykańskiego” pozostawał w sferze mglistych planów, jak projekt osiemnastowiecznych „stanów generalnych” – konieczny i niemożliwy zarazem. Kardynał Pacelli, gdy został papieżem Piusem XII, po długim namyśle zaniechał zwoływania w dwudziestym wieku Soboru eku-
menicznego.

Jan XXIII, nieroztropny, na to się zdecydował.

Przez pięć lat żyłem Soborem, którego tak oczekiwałem. Przez pięć lat, z przerwami, podczas których mogłem pomyśleć, kontemplowałem te dwa tysiące biskupów zebranych w Bazylice św. Piotra: widok, którego nigdy jeszcze nie oglądano i którego z pewnością nigdy więcej nie będzie okazji zobaczyć.

Przez pięć lat obserwowałem te zygzyki, te uniki, intrygi, wahania, decyzje, kompromisy, to pomieszanie przypadku i konieczności: z ogromniały obraz tego, co dzieje się w każdym ludzkim sumieniu przed poważną decyzją. Przez pięć lat moje życie było podzielone na dwoje: raz toczyło się w Rzymie, to znowu na Sorbonie, gdzie uczyłem – znajdując się w jednej z tych sytuacji, przechowywałem w sobie echo drugiej. W Rzymie Kościół zbierał się, aby stawić czoła przyszłości. W Paryżu Althusser i jego przyjaciele przygotowywali wybuch maja '68.

JAN XXIII

Krótko po śmierci Piusa XII spotkałem na bulwarze Saint-Michel kolegę z Sorbony, pana Bédaridę, profesora w katedrze języka włoskiego, zorientowanego we wszystkim, co dotyczy Półwyspu. Wygłosił on prorocstwo, w którym – jak w każdym prorocztwie – błąd co do przyszłości mieszał się z trafnym przewidywaniem (takim, które daje pewność wygrania zakładu): „Zobaczy Pan – powiedział – że papieżem zostanie monsinior Roncalli. On jest niezwykle spokojny; powiedziałbym nawet – łagodny. T r z e b a, a b y t i a r a o d p o c z ę ł a”. Nigdy dotąd tiara mniej nie odpoczywała.

Niejasny plan Soboru, który należałoby zwołać, by uniknąć skandalu podziału, tkwił w nieświadomości Papieża. Miał powiedzieć, że plan ten przyszedł mu do głowy n a g l e, jakby „na skinienie Bożego palca”. Kardynał Tisserant twierdził jednak, że Jan XXIII mówił mu wcześniej o tym projekcie. Ileż to razy myśl, która wydaje się nam nagła, faktycznie wypływa z naszej głębi! Nie należy mylić narodzin idei czy wielkiej miłości z jej ujawnieniem się.

Kiedy udałem się odwiedzić w Paryżu monsiniora Roncallego, ówczesnego nuncjusza apostolskiego, by spróbować zapobiec umieszczeniu niektórych moich książek na indeksie, ten zapytał mnie o „rozmowy w Malines”. Po raz pierwszy katolicy i nie-katolicy rozmawiali oficjalnie, pod przewodnictwem kardynała Merciera. Monsiniorowi Roncallemu bliska była pamięć Merciera; ten ostatni przyjaźnił się z monsiniolem Radinim-Tedeschim, którego Roncalli był również przyjacielem i sekretarzem.

Dwa przeciwstawne schematy podzieliły jednak między siebie jego śmiałego ducha. Pierwszy z nich miał zostać nazwany „aggiornamento”, to znaczy uaktualnienie, dostosowanie Kościoła do naszych czasów. I Roncallemu chodziło o to,

by zwołać sobór, który nosiłby po raz pierwszy w pełni uzasadnione miano soboru *ekumenicznego*, bo pracowałby nad ekumenizmem. Drugie oblicze projektu było jednak bardzo odmienne: Papież chciał, aby Sobór ten, zwołany w październiku i zakończony w Boże Narodzenie, nadał teologii orientację zachowawczą.

Na pierwszym posiedzeniu pierwszej sesji Soboru, 20 listopada 1962 roku, byliśmy świadkami swego rodzaju zamachu stanu. Kilku kardynałów sprzeciwiło się zamysłowi Papieża. Jan XXIII zmienił kurs. Odrzucił swoje ukryte preferencje; położył nacisk na ideę *aggiornamento*.

Oryginalnością Soboru było to, że nie był dogmatyczny i nie bronił wiary przed błędami: był to Sobór *duśpasterski*, który nie potępiając niczego, przedstawiał wiarę współczesnemu światu i przekładał ją na język odpowiadający jego niepokojom. Nie stworzono na nim nieznannej dotąd teologii; powrócono do teologii Ojców Kościoła, do „Ewangelii”. Nie była to rewolucja, lecz rewelacja, objawienie: przywrócenie do życia Tradycji przez powrót do jej Początku. Zauważono wówczas, że główne odkrycia współczesności (dotyczące wolności i wspólnoty, praw człowieka itd.) były już wirtualnie obecne w pierwszych wiekach Kościoła. Jak powiedział kiedyś pewien Papież: „nie ma nic nowego, czego nie byłoby już w tradycji” (łac. *nihil innovetur nisi quod traditum est*). Krótko mówiąc, chodziło o to, by iść naprzód i nie pozwolić oświeceniowi ubiec Kościoła, by poszukiwać ducha za literą, wiary za formułami, mistyki za polityką, żywej tradycji za zwyczajami, jedności za podziałami.

Jan XXIII wypowiedział to, przesuwając szorstką dłońią po swej twarzy starego lombardzkiego chłopa: „Chciałbym usunąć zmarszczki”, pozbawić Kościół jego przyzwyczajień, pozwolić mu odnaleźć jego wieczną młodość.

[...]

NA MARGINESIE

Ojciec Daniélou był przekonany, że Papież popełnił gafę, mianując mnie audytorem Soboru. Daniélou ukuł więc powiedzonko – urocze. Wbrew wszelkim zwyczajom Jan XXIII wprowadził do kanonu mszy wzmiankę o „wielkim zapomnianym”: o świętym Józefie, „oblubieńcu Maryi”. A Daniélou mawiał w kuluarach: „Papież zachował się nieroztropnie dwa razy: gdy wprowadził Józefa do kanonu i Guittona na Sobór”.

PIERWSZA SESJA SOBORU

Kiedy w październiku 1961 roku zostałem telegramem wezwany na Sobór, nie mogłem powstrzymać się od myśli, że była to niema odpowiedź Ja-

na XXIII, pamiątka naszych rozmów. Zapytałem monsiniora Capovillę, wierne-
go sekretarza Jana XXIII, dlaczego otrzymałem to zaproszenie. Odpowiedział,
że Papież przeczytał książkę, którą napisałem o kardynale Saliège’u, i że za-
frapował go tekst Saliège’a dotyczący jedności chrześcijan: „Jedność rzymska
przygotowywała niegdyś drogi dla apostołów Chrystusa, dla niosących Dobrą
Nowinę, dla wysłanników Ewangelii... Obecna walka, która wzmaga prze-
śladowania zamiast je zmniejszać, przyspieszyła ten ruch i przydała sił temu
pragnieniu, tej potrzebie wierzących, by odnaleźć utraconą jedność. Jedność
nie została jeszcze osiągnięta. Ona dopiero powstanie. Jest w planach Bożych.
Stała się przedmiotem modlitw tylu żarliwych chrześcijan. Nie wolno tego
odkładać. Poczucie, że wśród chrześcijan powinna zapanować jedność, jest po-
wszechnie: jedność jest warunkiem zwycięstwa ducha nad materią, warunkiem
triumfu prawdy religijnej nad wszelkimi materializmami, a także warunkiem
wolności ludzi, tak obecnie poniewieranej, wreszcie warunkiem szacunku dla
kondycji ludzkiej i miłości braterskiej wśród ludów”. Przczytawszy ten tekst,
Papież uroczystym tonem powtórzył słowa Saliège’a: „Jedność nie została
jeszcze osiągnięta. Ona dopiero powstanie”.

Zostałem wrzucony w Sobór, sam podczas pierwszej sesji. Wydając mi
kartę wstępu na galerię dla obserwatorów, monsinior Willebrands z naciskiem
podkreślił, że wykonuje polecenie. Odezwał się w nim łacinnik; opisał mnie
w ten sposób: „In universitate parisiensi professor necnon Galliae Academiae
socius, e speciali facultate Summo Pontefice concessa observator”².

Przez całe życie będę pamiętał swoje zaskoczenie, czy raczej wzrusze-
nie, gdy zostałem wprowadzony przez monsiniora Willebrandsa na galerię
o b s e r w a t o r ó w, znajdującą się naprzeciwko galerii kardynałów.

Zobaczyłem przed sobą nieruchomych, niewzruszonych senatorów Koś-
cioła, którzy przywodzili mi na myśl to, co przeczytałem u Tytusa Liwiusza
o senacie rzymskim. Czy ubrani byli w czerwień? Nie wiem. Lecz właśnie
w czerwieni ich widziałem, próbując ich namalować w odcieniach czerwonej
barwy mieniących się od purpury po oranż, ocierających się niemal o złoto.

Uderzyła mnie twarz Montiniego. Nie wątpiłem, że może zostać następcą
Jana XXIII: otaczały go szacunek i milczenie. Robił notatki, pochylony nad
swoim sąsiadem, hinduskim kardynałem. Być może przygotowywał to, co
miał powiedzieć o programie Soboru i o swojej definicji dwóch Kościołów:
Kościoła zewnętrznego i Kościoła wewnętrznego?

Obserwatorzy już się zebrali. Nie łączyło ich nic poza tym, że nie byli
katolikami. „Bracia protestanci” z Taizé wystąpili w białych albach. Profesor

² „Profesor Uniwersytetu Paryskiego i członek Akademii Francuskiej, obserwator za specjalnym
pozwoleniem papieskim”.

Cullmann przyglądał się ze skupionym uśmiechem. Zobaczyłem w pierwszym rzędzie rosyjskiego biskupa prawosławnego, przybyłego z Moskwy, w towarzystwie tłumacza, który był również policjantem.

Obecność tych obserwatorów zmieniła atmosferę Soboru, jak niegdyś obecność przedstawicieli cesarza. Obserwatorzy, chociaż się między sobą różnili (a nawet potajemnie ze sobą walczyli, jak prawosławni i protestanci), stanowili swego rodzaju drugą władzę. Tych niemych i jakże różnych świadków łączyło przekonanie – niewypowiedziane, lecz szczere – że uznanie Rzymu za stolicę Kościoła, skutek pod pewnym względem pożałowania godnych okoliczności, zniekształciło pierwotny obraz Kościoła, przyjmowany na sześciu pierwszych soborach ekumenicznych; że w dwudziestym wieku powrót Kościoła do jego istoty, niezależnej od przypadkowych wydarzeń, jest pożądanym; że można być wdzięcznym Janowi XXIII, iż powtórzył gest Piotra, „wy wpływając na głębie”.

W gruncie rzeczy ten niejednoznaczny Papież nie był p o l i t y k i e m, lecz m i s t y k i e m: odnoszę do niego słowa Bergsona o duszy mistycznej: „Spokojne ożywienie wszystkich jej władz sprawia, że jej sposób patrzenia jest szeroki i, jakkolwiek słaba by była, wszystko wykonuje z mocą. Przede wszystkim jej spojrzenie jest proste i ta prostota, uderzająca zarówno w słowach, jak i w postępowaniu, przeprowadza ją przez komplikacje, których zdaje się nawet nie dostrzegać”³.

ODWIEDZINY U KILKU KSIAŻĄT KOŚCIOŁA

Zdarzyło mi się podczas Soboru odwiedzić kardynała Ottavianiego w wielkich i pustych salonach Świętego Oficjum.

Odniosłem wrażenie, że zostałem przeniesiony do Hiszpanii z czasów El Greca; zdawało mi się, że widzę wydłużone postaci, krople światła. Cisza Świętego Oficjum była cichsza niż cisza. Kardynał Ottaviani wydawał się dźwigać ciężary, a największym z nich był ciężar jego twarzy. Mógłbym odnieść do niego przeciwieństwo tego, co Saint-Simon powiedział o Fenelonie: „Trzeba było wysiłku, by na niego patrzeć”⁴. Nie odpowiadałem jego umysłowości, jego wykształceniu, tak różnemu od mojego. Nie aprobowałem mojego krytycznego umysłu, mojej „kartezjańskiej” formacji. Jego łagodna ironia nauczyła

³ H. Bergson, *Dwa źródła moralności i religii*, tłum. P. Kostyło SJ, K. Skorulski SJ, Wydawnictwo Homini, Kraków 2007, s. 231.

⁴ „Il fallait effort pour cesser de le regarder” [„Trzeba było wysiłku, by przestać na niego patrzeć”]. Por. H. de Saint-Simon, *Pamiętniki*, tłum. A. Bocheński, M. Bocheńska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, t. 1, s. 254-259.

mnie unikać pułapek Świętego Oficjum – jakby dozorca więzienia doradzał, jak z niego uciec.

Miał odwagę się nie podobać. Przypominam sobie, że mówił mi, iż jest synem biednego piekarza, jego dziesiątym dzieckiem, i gdyby w owym czasie dozwolona była „regulacja urodzin”, „syn piekarza nie rozmawiałby dzisiaj z panem”.

Bliski miotania gromów na moją książkę o Jezusie – bo wydawała się wprowadzać innowacje do tradycyjnej doktryny – poradził mi, abym zobaczył się z ojcem Beą, jezuitą, konsultorem Świętego Oficjum i spowiednikiem Piusa XII. Tak też uczyniłem.

Ojciec Bea znany mi był za pośrednictwem ojca Lagrange’a, który, gdy w 1935 widywałem go w Jerozolimie, uważał Beę za swojego przeciwnika: ileż razy ojciec Lagrange mówił mi, że „wszystko szłoby dobrze, gdyby ojciec Bea nie powstrzymywał rozwoju egzegezy”! Ojciec Bea przyjął mnie w bezbarwnym pokoju, nieprzenikniony i wszechmocny. Przekazał mi listę poprawek. Był wówczas bardzo konserwatywnym jezuitą. Spotkałem go później jako kardynała: stał się innym człowiekiem. Nawrócił się na nowego ducha Soboru. Jak Nikodem, n a r o d z i ł s i ę n a n o w o.

Innym prałatem Świętego Oficjum, którego miałem poznać, był monsignior Parente, mój powszechnie znany przeciwnik. Przypominam sobie traktat o walce byków, gdzie napisano, że torreador powinien „wywierać nacisk u nasady rogów”. Wybrałem się do monsigniora Parentego na Via Aurelia. Znalazłem człowieka porywczego, gadatliwego, żywego, o ciemnej twarzy i włosach, a także spontanicznego, szczerego, uprzejmego – przyjemnie było go słuchać. Powiedział mi: „Kiedy mówię, jestem jak baranek; Pan wie, że gdy piszę, jestem jak lew”. Przypominał mi raczej psa podwórzowego, który szczeka, lecz nie gryzie. Dziki bywał tylko wtedy, gdy chwycił za pióro.

Złożyłem mu drugą wizytę wieczorem w dniu, w którym na Soborze bronił kolegalności; wpłynął na głosowanie Soboru, stając na czele obozu uważanego za przeciwny do tego, do którego należał. Bez wahania powiedziałem mu, że poczułem się zgorszony – nie tym, co powiedział (takie było i moje stanowisko), lecz tym, że zmienił poglądy. Odpowiedział mi: „Jeśli zmieniłem, to dlatego, że jestem przyjacielem prawdy, że więcej prawdy znajduję w kolegalności”. Został kardynałem.

ŚMIERĆ JANA XXII

Po mobilizacji 20 listopada 1962 roku Sobór, odnalazłszy kierunek, nabrał prędkości krążownika. Papież miał nadzieję wyprzedzić swój Sobór; stało się odwrotnie: to Papież został zmuszony do podążania za Soborem.

Często zdarzało mi się obserwować jego twarz. Odczytywałem w niej niecierpliwość wobec tej ogromnej maszyny, tego niesterownego kolegium, tej łodzi, którą zuchwale wyprowadził na wzburzone fale. Mógł myśleć o powtarzającej się w jego życiu sytuacji: zawsze odchodził w odpowiedniej chwili. Tak było w Turcji, w Paryżu, w Wenecji, gdzie Opatrzność pozwalała mu na przenosiny na inne stanowisko, kiedy pojawiał się problem niemożliwy do rozwiązania.

Był zmęczony. Jego cera nabrała ołowianego, ziemistego odcienia. Jego chód, zawsze powolny i ciężki, teraz stał się ociężały. Wydawał mi się oddalony, oderwany od tego, co mówił, czytał, robił. Unosił się w obłokach z obojętnością ludzi ciężko chorych. Pewnego dnia, gdy zaprowadzono mnie do niego, usłyszałem kilka prostych słów nawiązujących do liturgii: „Ach! To Pan? Moje serce jest z Pana duchem”.

Poznałem różne jego oblicza, których nie potrafię połączyć: gadatliwy, sprytny, prostacki nuncjusz; Papież wybrany, by „tiara odpoczęła”, który ruszył wszystko z posad; Papież pełen niemożliwych do przeprowadzenia planów, który widział klęskę Synodu, który mógł przeczuwać klęskę Soboru, który zarzucił swoje sieci na pełnym morzu. Człowiek tak pewny siebie – pamiętam, że powiedział: „Czy wie Pan, dlaczego przyjąłem imię Jan? Bo jest to największe imię Starego Testamentu i największy święty Nowego” – i tak pokorny, tak bardzo „jak wszyscy”.

Czy był „święty”? Na pewno nie był świętym w dawnym, prawnym i technicznym sensie tego słowa. Jego doskonałością była szczerza akceptacja siebie – takim niedoskonałym, jaki był, przyjmowanie kolejnych dni ze wszystkim, co ze sobą niosły, kroczenie prostą drogą ku „szczytnym celom”. Opanował sztukę życia à la Don Camillo, cieszenia się rzeczami i ludźmi; przypominał biskupa z Digne, którego Victor Hugo sportretował w *Nędznikach*. Perspektywa śmierci nie była dla niego źródłem niepokoju, lecz oczekiwaniem szczęścia. Przygotował tę śmierć, tak jak przygotował swoją kandydaturę, wykupiwszy bilet, spokojnie czekał na nabrzeżu.

PAWEŁ VI

PIERWSZE SPOTKANIE

W niewoli napisałem studium o Maryi Dziewicy. Nie było ono przeznaczone dla wierzących, lecz dla moich towarzyszy niewoli⁵. Jedni, uczniowie Alaina, powtarzali mi, że Maryja jest najpiękniejszym, lecz najmniej prawdziwym

⁵ W latach 1940-1945 Guitton był więziony w oflagu IV-D w Elsterhorst.

ze wszystkich chrześcijańskich mitów; inni, protestanci, mówili, że kult Maryi w katolicyzmie jest pozostałością pogaństwa. Poruszyły mnie te dwa zarzuty.

Książka ukazała się w roku 1949 z imprimatur Diecezji Paryskiej; kostychej pamięci monsinior Duchesne powiedział, że uczyniłem w niej pierwszy krok ku Indeksowi rzymskiemu. Tego też nie zabrakło. Oficjalny dziennik watykański określił moją książkę jako bliską herezji, a opinię tę sygnował monsinior Parente, mój „byk”.

Dlaczego monsinior Parente potępił to dziełko? Uczynił tak dlatego, że w scenie Zwiastowania rozróżniłem dwa momenty znacznie oddalone od siebie w czasie. Pierwszy moment wszyscy znamy: to chwila, gdy Maryja dowiaduje się od Anioła, że będzie matką Mesjasza. Dopytuje się, wypowiada pragnienie pozostania dziewicą. Anioł ją uspokaja. Ona wyraża zgodę, poczytna. Ja jednak pokazywałem, że być matką Mesjasza, który jest człowiekiem, to nie to samo, co być matką Boga-Człowieka. Na zwiastowanie składały się zatem dwa momenty, lub (jak sądziłem) było też drugie Zwiastowanie. Dziewica musiała zrozumieć, że to dziecię – w jej łonie, w jej ramionach, pod jej pocałunkami – nie tylko jest Mesjaszem, lecz jest też Bogiem. Różnica była i nieznaczną, i nieskończoną: w pierwszym przypadku Chrystus stanowił punkt na obwodzie koła historii; w drugim przypadku – był nieruchomym środkiem, wokół którego cała historia się toczy.

Monsinior Parente przeczytał moją książkę i przyszpilił mnie, przedstawiając jako teologa świeckiego, w jego oczach – podejrzanego.

Książka miała zostać umieszczona na Indeksie, kiedy przeczytał ją rzymski prałat Giovanni Battista Montini. Zafrapował go fakt, że logicznie myślący, krytycznie wykształcony Francuz uzasadnia jego praktykowaną od dzieciństwa maryjną pobożność. Ucieszył się, że tajemnica Maryi została wyrażona w języku współczesności i, dowiedziawszy się, że książka ma się znaleźć na Indeksie, pospieszył do papieża Piusa XII, by uzyskać jego podpis na liście, w którym stwierdzono, że Papież udziela książce swojego błogosławieństwa.

„Uratowałem pana przed inkwizycją” – powtarzał mi Paweł VI.

8 września 1950 roku, około trzeciej po południu, przyjął mnie w opustoszałym Watykanie. On patrzył na mnie, ja patrzyłem na niego. I uzyskał ode mnie dwie obietnice: Po pierwsze, że będę go przez całe życie odwiedzał 8 września, czyli w święto Narodzenia Maryi. Po drugie, że będę pisał swobodnie, szczerze, nigdy nie kryjąc przed nim swoich poglądów, nawet gdyby mogły mu się nie spodobać. Przychodziłem do niego w dniu 8 września dwadzieścia siedem razy.

Kiedy zawierałem ten układ, miałem niejasną myśl, że stoję przed przyszłym papieżem, ale sądziłem też, że po wyborze już nie będę się z nim spotykał; nie można być przyjacielem Jowisza – mawiał Arystoteles.

[...]

Poszedłem do Pawła VI pożegnać się, mówiąc mu, że teraz, gdy został papieżem, nie będę już go odwiedzał. Rzekł wtedy: „Czy nie jestem człowiekiem? Czy nie mam prawa mieć przyjaciół? Czy jestem bez serca?”. Przypominam sobie, że dotknąłem wówczas czoła i powiedziałem: „Wiem, że nie zobaczę już Waszej Świątobliwości, proszę więc pozwolić oddać sobie tę szarą substancję”. A on odparł: „Jutro, kiedy będę odprawiał Mszę, położę ją na ołtarzu; ofiaruję ją Panu”.

[...]

Na początku swojego pontyfikatu wezwał mnie, aby poprosić o propozycję tematu jego pierwszej encykliki. Zasugerowałem poszukiwanie prawdy. Odpowiedział: „Postanowiłem, że encyklika ta będzie o dialogu”. Słowo „dialog” streszcza jego działanie. Chciał podjąć dialog z wszechświatem sumień, żadnego nie wyłączając. I niekiedy zastanawiałem się, czy jego najtajniejszą maksymą nie było: „Kochaj dalekiego, jak siebie samego”. Im bardziej ktoś był oddalony, tym bardziej Paweł VI go kochał. Napomykał o Chinach. Nie udał się do wielkich stolic katolickich, choć bardzo tego pragnął: pociągały go odległe brzegi.

PIERWSZY ŚWIECKI PAPIEŻ

Kiedy w roku 1918 uczęszczałem na Sorbonie na wykłady pana Lansona o Bossuecie, zafrapowało mnie to, co powiedział o powołaniu Bossueta. Bossuet miał wiele możliwości, wiele zdolności, wiele skłonności. Powołania te były ze swej istoty świeckie: być pisarzem, humanistą, pedagogiem, mówcą, dyplomatą, poetą, erudytą, polemistą, kim jeszcze? Lanson mówił, że jedynym sposobem, jaki Bossuet znalazł, żeby jednocześnie zrealizować te rozbieżne powołania, było kapłaństwo.

Takie wyjaśnienie jeszcze lepiej opisywało Giovanniego Battistę Montiniego. Rezygnując z realizacji swoich różnych powołań, które były powołaniami świeckimi (jedno prowadziło go – jak jego ojca – ku polityce; drugie skłaniało go ku poezji, jeszcze inne ku dyplomacji, podróżom, kontaktom...), Giovanni Battista znalazł sposób realizacji ich wszystkich. I to właśnie dlatego, kiedy rozważał ideę kapłaństwa, powiedział, że ksiądz nie jest człowiekiem, który rezygnuje z ludzkiej kariery zawodowej, lecz kimś, kto pracuje we wszystkich zawodach, doprowadzając je do doskonałości.

[...]

TRUDNE PROBLEMY

Z moich rozmów z Pawłem VI chcę tutaj przedstawić tematy trudne i wciąż aktualne. Obecny niepokój ma swoje źródło po części w tym, że wcześniej-

sze problemy nie zostały prześwietlone, że milczenie otacza istotę sprawy.

Paweł VI powiedział mi: „Mój poprzednik rozpoczął Sobór pospiesznie, w przekonaniu, że bardzo szybko go skończy. Oto, co nazywam «Bożym fortelem», bo już Pius XII, a nawet Pius XI rozważali zwołanie Soboru. Jaką postawę przyjąć wobec Kościołów odłączonych? Byliśmy więźniami alternatywy: gdybyśmy potępiłi te Kościoły (jak dotąd czynili papieże), powiększylibyśmy przepaść między Kościołem a światem. Mój poprzednik otrzymał łaskę niewiedzy. Na początku Soboru nie było planu ani programu, widziałem to. I wyczuwałem, od pierwszych posiedzeń, że w gruncie rzeczy w tym Soborze były dwa sobory: sobór wewnętrzny i sobór zewnętrzny. Sobór wewnętrzny to był ten, o którym pisano w gazetach, który był widoczny na zewnątrz, sobór biskupów, sobór Papieża. Sobór zewnętrzny to był sobór kuluarów, to znaczy dialogu ze światem. Bardzo szybko ten drugi sobór, sobór dialogu, zajął miejsce pierwszego – soboru tradycji. Dlatego miałem obowiązek wyznaczyć moderatorów, aby spróbować pokierować tym Soborem, któremu zagrażał brak sternika. Przypomina pan sobie, że podczas pierwszej sesji musiałem zabrać głos, aby wyjaśnić publicznie, jaka ma być linia Soboru. Rozróżniłem Kościół ad intra i Kościół ad extra. Miałem wrażenie, że punktem wyjścia była zewnętrzna, formalna, prawna definicja Kościoła i że niedostateczną uwagę zwrócono na Kościół duchowy. Jan XXIII nie zdawał sobie z tego w pełni sprawy. Przesadą jest twierdzić, że miał przeczucie swojego bliskiego końca. Miał je dopiero w ostatnich miesiącach. Ale zmarł, zanim zdołał dokończyć swoje zadanie. Stąd krzyż, który spadł na mnie. Gdybym chciał jednym słowem streścić zasadnicze trudności mojego zadania od chwili śmierci Jana XXIII aż do końca, powiedziałbym: «Odnowa, lecz przy zachowaniu tożsamości». To właśnie Newman nazywał r o z w o j e m”.

ANTYKONCEPCJA

W naszych czasach problemy związane z seksualnością i poczęciem znalazły się w sferze publicznej. Zajmowały one Pawła VI w sposób dramatyczny.

Pamiętamy jego encyklikę *Humanae vitae*, w której wypowiedział się przeciwko tak zwanej „pigułce”. Zdawał sobie sprawę, że encyklika ta negatywnie wpłynie na jego popularność. Gdyby „uwolnił” małżeństwa chrześcijańskie od tego problemu, natychmiast uzyskałby w historii prestiż papieża „wyzwolicie-la”. Z łatwością mógł – wielu mu to doradzało – rozwiązać konflikt sumienia małżonków, jak to uczynił Kościół anglikański, stwierdzając, że Chrystus nie miał nic do powiedzenia o problemach związanych z m e t o d a m i antykoncepcji, że troskę o rozwiązywanie tych problemów w poszczególnych przypadkach należy pozostawić lekarzom.

Byłem świadkiem rozdarcia, jakie Paweł VI przeżywał w swoim sumieniu. Zrozumiałem, że wybrał rozwiązanie trudniejsze, postanowił nie sprowadzać moralności do poziomu obyczajów, lecz spróbować wnieść obyczaje na poziom moralności. Dostrzegał ogromną różnicę między „tym, co się robi”, a „działaniem, które jest dobre”, między „tym, co czynią wszyscy”, a „tym, co należy czynić”. Uważał, że nawet jeśli ideał nie był nigdy przez ludzi realizowany, tchórzostwem byłoby nie wyrzucić go – wzorem Mojżesza – na kamiennych tablicach; że inni nie mają takich obowiązków, jak człowiek, który znajduje się na szczycie, sam przed Bogiem; że to kazuiści, prawnicy będą stosować prawo w konkretnych przypadkach, lecz papież byłby zdrajcą, gdyby nie przypominał prawa, prawa rozumu, prawa Kościoła. Powtarzam, że ta powinność była dla niego krzyżem; wiedział, że straci to, na co był z natury – której tak droga była miłość innych, która tak jej pragnęła – wyczulony: popularność.

Przedłożyłem mu swoje uwagi, z których jedna odnosiła się do pojęcia *n a t u r y*. Stwierdził, że sztuczna antykoncepcja, chemiczna bądź mechaniczna, jest „przeciwna naturze”. „Ale – powiedziałem mu – Wasza Świątobliwość dopuszcza antykoncepcję opartą na obserwacji okresów płodności kobiety. Czy rzeczywiście jest różnica między unikaniem poczęcia dziecka przez antykoncepcję a unikaniem poczęcia za pomocą kalendarzyka? W średniowieczu sądzono, że oprocentowanie pożyczki jest *wbrew n a t u r z e*; w naszych czasach cała nowoczesna ekonomia opiera się na oprocentowanej pożyczce”. Papież odparł: „Zdaję sobie sprawę, że w naszych czasach słowo «natura» jest wieloznaczne. Jednak w encyklice zastąpiłem je terminami równoważnymi: «stałość», «wymaganie», «struktura». Pan jako filozof powinien pisać o różnych sensach słowa «natura». Być może byłby pan skłonny twierdzić, że pojęcie to zawiera dwa elementy: jeden z nich jest podstawowy i nazwałbym go *i s t o t ą*. Następnie wyróżniłby pan sens drugorzędny, który nazywałbym pan *rozwojem*. Podobnie w prawie rzymskim istnieje fundament, który dany jest od początku, oraz to, co na nim powstało. Jeśli ponownie przeczyta pan ewangeliczne przypowieści o nasieniu, zobaczy pan, że nasienie jest elementem niezmiennym, tym, dzięki czemu dąb jest naprawdę dębem. To właśnie nazywam naturą. Nie znaczy to jednak, że w żółedziu nie zachodzą ciągłe zmiany. Wiem dobrze, że wielu uczonych (a nawet moralistów) akceptuje «pigułkę» w imię wolności. Co do mnie, jako osoba odpowiedzialna za ogromną rodzinę ludzką nie jestem zobowiązany do respektowania opinii publicznej. Mam zobowiązanie wobec przyszłej ludzkości. Musi pan zrozumieć, że jeśli człowiek zgodzi się na rozdzielenie w miłości związku między przyjemnością a poczęciem, jeśli kobieta, używając środka mechanicznego czy leku, stanie się dla mężczyzny *p r z e d m i o t e m*, to nie wiadomo, jak uniknąć podważenia małżeństwa monogamicznego, jak uniknąć wypaczenia człowieczeństwa przez

zasadę przyjemności”. I dodał: „Sądzę, że moja encyklika przyniesie jakieś uzdrowienie, że nie będzie wyrokiem śmierci, lecz wyrokiem dla śmierci, to znaczy drogą do życia. I jakie znaczenie ma to, że inni za mną nie pójdą, a nawet, że w końcu zostanę prawie sam?”.

INTERKOMUNIA

Jednym z problemów, które podniosłem, była kwestia interkomunii.

Papież zezwolił pastorowi protestanckiemu w szczególnych okolicznościach uczestniczyć w katolickiej Eucharystii, a jako uzasadnienie podał fakt, że pastor jest „głodny” katolickiej komunii i że nie można mu odmówić pomocy, będącej wymogiem miłości. Moje zastrzeżenie wskazywało, że komunია eucharystyczna jest znakiem jedności Kościoła i że pastor, pozostając protestantem, nie nawracając się, pozostaje poza Kościołem widzialnym. Innymi słowy, moim zdaniem (wciąż tak myślę) komunია eucharystyczna jest konsekwencją powrotu do jedności; nie może natomiast być tej jedności podstawą. Inaczej mówiąc, by móc razem przyjmować komunię, trzeba najpierw mieć tę samą wiarę. Na tym polega dramat naszego odłączenia. Związany jest on z koncepcją prawdy, a przynajmniej, moim zdaniem, w zamęcie nie uda się stworzyć niczego solidnego.

Papież wysłuchał moich zarzutów i stwierdził, że należy ponownie przemyśleć tę sprawę. Mówiłem mu też o swoich trudnościach z nową liturgią, dotyczących Eucharystii i Mszy. „Nowa liturgia – powiedziałem – jest bliższa źródła i przez to zbliża nas do protestantów. Jest ekumeniczna, ale czy można ją pogodzić z ustaleniami Soboru Trydenckiego dotyczącymi o f i a r y M s z y i czy nie zrezygnowaliśmy z postrzegania Mszy jako ofiary rzeczywistej na rzecz uznania jej tylko za rytuał składania ofiary? Sobór głosi na przykład: „Msza ponawia Ostatnią Wieczerzę Pana i sakramentalnie uobecnia jego ofiarę”. Papież milczał. Potem odparł: „W tekście, który pan cytuję, słowo «sakramentalnie» nie znaczy «symbolicznie»; znaczy «realnie». Proszę się nad tym zastanowić. Proszę o tym napisać. Zobowiązuję pana do tego w sumieniu”.

ÉCÔNE

Przypominam sobie również poruszającą rozmowę – we wrześniu 1976 roku – o problemie Écône.

Sprawa monsiniora Lefebvre’a nie interesowała mnie dla niej samej; zdawało mi się, że podnosi ona pewną zasadniczą kwestię, mogącą zaważyć na przyszłości ekumenizmu, któremu poświęciłem swoje życie. Mówiłem Ojcu Świętemu, że monsinior Lefebvre wydaje mi się podobny do Newmana w pierwszym etapie jego życia. Przyszły kardynał uważał bowiem zmiany wprowadzane

przez Rzym za wypaczenia, ponieważ Kościół powinien pozostawać tożsamy ze sobą, zgodnie z regułą Vincenta de Lérina, głoszącą, że wiarą jest to, co zostało przyjęte przez wszystkich, wszędzie i na zawsze. Papież pytał mnie, czy dobrym sposobem „nawrócenia integrystów” byłoby pokazanie im, że Newman przeszedł od stanowiska „integrystycznego” do idei r o z w o j u. Powiedział: „Pana zadaniem jest wytłumaczenie im, że nowe wskazania Soboru Watykańskiego II nie są zmianami, lecz przeciwnie – że zachowują i ocalają tożsamość wiary w odmienionym świecie”.

Nie mogę nie przywołać pierwszej rozmowy z monsiniolem Montinim o poprzednim pontyfikacie. Bronilem wtedy modernizmu. Encyklika Piusa XII *Humani generis* zdawała się potępiać filozofów, do których byłem najbardziej przywiązany: Bergsona, Blondela itd. Montini powiedział, że zrobi, co będzie mógł, by uniknąć potępień.

Trzydzieści lat później poszedłem do niego wstawić się za „integrystami”: „Wasza Świątobliwość ocalił mnie ze szponów Inkwizycji, która w czterdziestym ósmym chciała doprowadzić do potępienia mojej książki o Maryi Pannie. Poznałem monsiniora Lefebvre’a: jego sposób myślenia jest całkowicie przeciwny mojemu. Jednak im bardziej się ze mną nie zgadza, tym bardziej chcę być dla niego sprawiedliwy”.

Na co Papież odpowiedział: „Ta sprawa Écône jest plagą mojego pontyfikatu. Prosiłem Boga, żeby przed moją śmiercią Kościół, którego jestem najwyższym Pasterzem, nie rozpadł się na dwoje. Jak dotąd, ocaliłem jedność Kościoła, zachowałem go przed schizmą. Nie może Pan nie zdawać sobie sprawy, panie Guitton, czym jest schizma! Proszę Pana o przysługę: nich się pan uda do Écône, zobaczyć się z monsiniolem Lefebvre’em. Proszę jednak nie jechać tam w moim imieniu! Proszę nie mówić, że przychodzi Pan ode mnie. Niech się Pan z nim spotka jako filozof; niech pan rozmawia zgodnie z własnym sumieniem. Niech Pan mu powie, zgodnie z sumieniem, jako filozof, który szuka prawdy i jako historyk, który bada postać Chrystusa, co pan myśli o tym ruchu. Niech pan spróbuje go przekonać. Proszę jechać do Écône!”

„Nie wiem – dodał – jak mógłbym nie zmienić nałożonych dotąd sankcji na ekskomunikę, jeśli monsinior Lefebvre będzie trwał w nieposłuszeństwie i nie zaprzestanie rzucać obelg”. Odpowiedziałem: „Jeśli Écône zostanie potępione przez zbyt dużą wierność tradycji, Wasza Świątobliwość będzie zgodnie z logiką zobowiązany do potępienia również tych, którzy zmieniają istotę wiary. Po potępieniu prawicy nastąpi potępienie lewicy. A Wasza Świątobliwość, Papież dialogu, będzie kroczył naprzód wśród trupów”.

Papież odparł: „To będzie moja odmiana męczeńskiej śmierci. Jednak pokładam wielką nadzieję w wyrokach Bożych. Proszę mu powiedzieć, jeśli wybierze się pan do Écône, że przyjmę ich wszystkich z otwartymi ramionami.

[...]

WYSTĄPIENIE NA SOBORZE

Podczas drugiej sesji Soboru przepis wprowadzony z inspiracji kardynała Suenensa pozwalał świeckiemu „zabrać głos”. Dom Norbert Calmels, przełożony generalny norbertanów, osoba mi nieznana, podszedł do mnie w samym środku obrad, by powiedzieć, że mam obowiązek zgłosić swoją kandydaturę i „przemówić do Soboru”. Dodał, że temat tego wystąpienia sam się narzuca; miałem zaproponować wypowiedź o problemie ekumenizmu – problemie mojego życia. Okazało się, że Paweł VI miał taki sam zamiar.

Papież ustalił temat. Powiedział mi autorytatywnie: „Dramat ekumenizmu płynie stąd, że chce się zastąpić pojęcie *n a w r ó c e n i a* pojęciem *z g o d n o ś c i*. Papież nie może porzucić podstawowej idei, że Kościół jest tylko jeden – jedna owczarnia, jeden pasterz. Zaprosiłem na Sobór przedstawiciele wyznań niekatolickich; granice Kościoła rozciągają się poza Kościół i – jak mówił św. Augustyn – «Kościół ma dzieci pośród swoich wrogów i wrogów pośród swoich dzieci». Należy pogodzić te dwa pozornie sprzeczne aspekty. Skoro zastanawiał się pan nad tą kwestią jako filozof, znajdzie pan dobre rozwiązanie”.

Można sobie wyobrazić, w jakim byłem kłopotcie.

Moje rozwiązanie opierało się na prostej koncepcji wzajemności ofiar. Aby dokonało się zjednoczenie podzielonych chrześcijan, nie można od jednych oczekiwać większych, a od innych mniejszych ofiar. My katolicy wymagamy jednak od niekatolików ofiary całkowitej. Czy bylibyśmy lojalni, nie czyniąc podobnej?

Wyraziłem się w tych słowach: „Na heroiczny wysiłek, jakiego katolicy żądają od swoich niegdyś odłączonych braci, katolicy winni odpowiedzieć pokornym, wielkodusznym, bolesnym wysiłkiem oczyszczenia, aby usunąć z oblicza Kościoła zmarszczki oszpecające jego wieczną młodość. Krew, która przywraca jedność, nie może zostać przelana tylko po jednej stronie. Oto dłaczego należy wciąż przypominać te dwie dopełniające się prawdy, które są duszą katolickiego ekumenizmu: pierwszą – że Kościół katolicki ma obowiązek głosić światu, iż jest jedynym Kościołem, którego chciał jego boski Założyciel, Kościołem bez podziałów, w którym powinna panować widzialna jedność. Jeśli przemilczymy to wymaganie, wprowadzimy w błąd naszych braci; przestaniemy być tym, czym jesteśmy. Lecz katolickość to także głoszenie, że urzeczywistnienie jedności będzie doskonałe tylko wtedy, gdy właściwe formy różnorodności chrześcijańskiej i ludzkiej będą mogły znaleźć dla siebie miejsce i słuszną wolność w łonie Kościoła. Być katolikiem to zatem żywić te dwie troski, które określiłbym jako w pewnym sensie prostopadłe i które przecinają się w miejscu, gdzie znajduje się nasze serce. Pierwsza z nich to

troska o jedność, o jedną owczarnię, jednego Pasterza; druga to troska o różnorodność, o to, by każda owca była inna, by wszystkie słuszne różnice gromadziły się w Kościele, by życie Kościoła było bogatsze. Wyobraźmy sobie, czcigodni Ojcowie, że jutro wszyscy nasi bracia odłączeni zechcą wejść do katolickiej bazyliki. Rozszerzyłyby swoją nawę, podwyższyła kopułę. Zniknęłyby niepotrzebne czy zniszczone ozdoby, tak aby wszyscy mogli czuć się dobrze pośród jej wzniosłej prostoty. Zachowałyby swoją formę, swoją istotę, swoją strukturę: nic istotnego nie zostałyby zmienione w dogmatach, kulcie, władzy. Lecz ta niezmienna forma, wzbogacona tyłoma darami i tyłoma cierpieniami, rozkwitłaby, uzyskałaby doskonałą pełnię”. Przedłożyłem swój tekst Ojcu Świętemu: „Pana wystąpienie nie jest złe – powiedział. Jest jednak pewna **n i e w i e l k a t r u d n o ś ć**”.

Zrozumiałem, że trudność była znaczna. Paweł VI – za pośrednictwem przyszłego kardynała Pouparda – nakłonił mnie do poprawienia tekstu, wprowadzenia weń większej dyscypliny.

Kilka dni przed sesją Papież zwołał audytorów świeckich i powiedział im: „Świecki nie zabiera głosu na Soborze. Vos estis auditores, non locutores [Jesteście słuchaczami, nie mówcami]”. To powiedziawszy, wziął mnie na bok i rzekł mi na ucho: „Jutro, podczas Soboru, będzie pan mówił”. Jego dyplomatyczna metoda kierowania łodzią polegała na jednoczesnym wiosłowaniu w dwóch przeciwnych kierunkach.

Nadszedł 3 grudnia 1963 roku. Moja żona drżała. Miała rację, mówiąc, że przeżyję najważniejszą (i najbardziej niebezpieczną) chwilę w życiu. Niczym Demostenes ćwiczyłem wymowę poszczególnych słów z ołówkiem między zębami. Czy w tym środowisku, gdzie wszyscy mówią po łacinie, mój francuski będzie zrozumiały? Czulem, jak chłód przenika moje kości. Gdy nadszedł moment walki, potwierdziło się prawo, zgodnie z którym w niezwykłych okolicznościach wstępuje w nas inna osoba. Podczas wystąpienia czulem się tak, jakbym stał obok siebie. Automat czytał tekst. Na szczęście ze swojego miejsca nie widziałem biskupów. Widziałem tylko twarz Pawła VI, która była spokojna, uśmiechnięta, wspierająca, zachęcająca, jak twarz właściciela cyrku obserwującego akrobatę. Jako dziecko, w lipcu roku 1909, przeżywałem przelot Blériota nad kanałem La Manche. Przypomniało mi się to wydarzenie, a także słowa Blériota, gdy wylądował w Douvres: „Nad falami nie odczuwałem niepokoju: pilnowałem silnika”.

Wieczorem owego 3 grudnia Paweł VI zaprosił mnie na obiad ze swoim sekretarzem, monsiniorem Macchim, i swoim kierownikiem duchowym, kardynałem Bevilacqua. Pod koniec posiłku podarował mi zegarek: „Proszę nosić ten zegarek przy sobie. Będzie Panu przypominał, że czas jest niczym

wobec wieczności. Nie trzeba go nakręcać. Jest Pan bardzo roztargnionym człowiekiem”. Wciąż noszę ten zegarek na lewym nadgarstku.

[...]

OSTATNIE CHWILE

Przez te dwadzieścia siedem lat największe wrażenie wywierała na mnie jego samotność. Była całkowita, spokojna, okrutna. Papież otrzymuje pomoc we wszystkich swoich działaniach, przy pisaniu wszystkich dokumentów; sam jednak je podpisuje, sam podejmuje decyzje. Niesie na swoich barkach straszliwy ciężar c a ł o ś c i. Wie, że gdy tylko poniesie klęskę, wszyscy pospieszą z krytyką.

Filozofa interesuje sposób, w jaki umysł postrzega przestrzeń i czas. Papież znał przestrzeń za pośrednictwem małego ekranu, na którym świat bez przerwy przesuwał się przed jego oczami i gdzie widywał niekiedy samego siebie. Zanim pojawiła się telewizja, papież nigdy nie mógł oglądać całej zamieszkałej ziemi, cierpienia, głodu, katastrof, nieustającej wojny, podobieństwa wszystkich twarzy. Być może nigdy dotąd w swojej długiej historii ludzkość nie doświadczała tak głęboko, niemal fizycznie, potrzeby odczucia, że jest chroniona przez jedną istotę.

Papież był zmuszony do nowego postrzegania czasu. Wiedział, że jest papieżem w chwili, gdy historia człowieka przyspiesza, gdy na naszym globie zachodzi nieporównywalna z niczym zmiana. Wiedział, że płynie jako pierwszy w tym strumieniu, rozpoczynającym się od Abrahama i poprzez nieprzerwaną sukcesję docierającym do naszych dni.

[...]

W swoim dzienniku napisał: „Na tajemnicę śmierci i tego, co po niej nastąpi, patrzę w świetle Chrystusa, które jako jedyne ją rozjaśnia. W godzinie, w której dzień się chyli, w godzinie, gdy ta zdumiewająca i dramatyczna scena czasu i świata odpływa...”.

W sobotę 5 września 1978 roku miał lekką gorączkę; kazał monsiniorowi Macchiemu czytać sobie mój *Petit Catéchisme* [„Mały katechizm”], a w nim rozdział, gdzie pisałem o tym, jak Jezus jest przedstawiany dzieciom. Macchi zapytał: „Ojciec Święty, czy mam kontynuować?”, a Papież odparł: „Basta. To wystarczy. Chcę teraz pomyśleć”.

Nikt się nie niepokoił. Macchi odprawił mszę w kaplicy w apartamentach. Papież uczestniczył w modlitwach i przyjął komunię. O siedemnastej czterdzieści zmienił się nagle na twarzy: była to odma oplucnowa. Powiedział: „Subito”. Macchi udzielił mu ostatniego namaszczenia. Wezwano kardynała sekretarza stanu. Papież, usłyszawszy modlitwę *Pater noster*, wypowiedział

wyraźnie słowa: „qui es in caelis”. Uczynił gest pożegnania, zwijając palce w pięść. Była dwudziesta pierwsza czterdzieści.

I wtedy zadzwonił stojący u węzłowia budzik. Był to budzik, który zawsze miał przy sobie od czasu pobytu w Warszawie. Zastanawiałem się, czy ten przypadek nie ma ukrytego sensu: Przebudzenie nadejdzie z Warszawy?

Tłum. z języka francuskiego *Patrycja Mikulska*